

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[37]

Dawne ogrody polskie.

W XVI jeszcze wieku mało zajmowano się u nas ogrodami, miano przy domu niewielkie ogródki przeznaczone wyłącznie dla przyjemności

rozmaitych kwiatów i wonnych ziół urządzano darniowe ławeczki, ocienione drzewami, najczęściej owocowemi. Sadzono niekiedy kwiaty w kształcie liter, tworzących w połączeniu całkowite imiona i zdania, naśladować modę panującą naówczas we Włoszech i Francyi, jak to opisują stare wiersze:



Teatr letni w Łazienkach.

i przechadzki; to też nawet w królewskiej rezydencji w Łobzowie wirydarz mieścił się w sadzie. W ogóle, jak wnosimy z nader skąpych opisów i wzmianek, w epoce téj, to jest do XVII wieku, nie starano się wcale o przyozdabianie ogrodów na dworach naszych panów. Pomiedzy rzędami

Umiejętny ogrodnik pańskie zioła sadi,
W rozmaite kwadraty wirydarzom radzi;
Czynią sztuki foremne, kompasy z bukszpanu,
W które sadzą różnych farb kwiaty tulipanu;
Sadzą i literami sentencye różne,
Tytuły panów swoich, gdzie jest miejsce próżne.

Oprócz wirydarzy kwiatowych, urządzanych najczęściej przed sieniami i oknami domu, sadzono w niektórych ogrodach szpalery drzew dla cienia i przechadzki. Najulubieńszem atoli miejscem rozrywki dla panów naszych w XVI i XVII wieku były zwierzyńce, na których urządzenie i utrzymanie nie szczędzono starań i nakładu. Słynne były między innymi: w Ujazdowie pod Warszawą, w Zamościu oraz w Komarnie (w województwie bełzkim). W Ujazdowie, czyli we wsi Jazdowie, już za książąt mazowieckich znajdował się zwierzyńiec. Po przyłączeniu księstwa Mazowieckiego do korony, przebywali tu często królowie polscy i zabawiali się łowami; przemieszkowały też królowe: Bona i Anna Jagiellonka. Zwierzyńiec w Komarnie miał milę obwodu, a mieścił kilkaset sztuk zwierzyny; w Zamościu, jak świadczy Jan Ostro-róg, na początku XVII wieku utrzymywano w zwierzyńcu żubry i tury. Niezawsze zakładano zwierzyńce w pobliżu dworów i ogrodów. Pomieniony Ostro-róg, opisujący swój zwierzyńiec w Komarnie, za najwłaściwsze uważa urządzać takowe w lesie. Słynny ten gospodarz wyznaje w swém dziele, że najmilszem dla niego miejscem przechadzki w lecie a przejażdżki w zimie, jest zwierzyńiec. W jego atoli epoce, na początku XVII wieku, zajmowano się już nie tylko pielęgnowaniem sadów, ale jednocześnie z obudzonem zamięłowaniem do przyozdabiania pałaców i dworów, starano się o upiększenie ogrodów, czyli tak zwanych wirydarzy, wspinałemi drzewami, altanami, pomnikami itp.

Jedyne prawie dokładniejsze wzmianki o dawnych naszych ogrodach napotykamy w dziele Adama Jarzebskiego, w opisie Warszawy 1643 r. Na Krakowskiem Przedmieściu, gdzie stoi pałac Kazimierowski, obecnie gmach uniwersytetu i biblioteki, istniał pałac króla Władysława IV, zasłonięty z boków ogromnemi stajniami. Za pałacem roztaczał się ku Wiśle przepyszny ogród, w nim kwatery pełne wonnych ziół i kwiatów, w środku marmurowa fontanna i mnóstwo posągów odlewanych ze spiżu: „tu Herkules lwa dusi, tam urodziwy koń, spodem od węża kłasy, wspina się z bólu do góry nogami”. W niższym ogrodzie, nad sadzawką, biegały na murawie jelenie i daniela, łabędzie i dzikie gęsi pływały po wodzie, żurawie przechadzały się po brzegach. Woda bieżąca z krynicy zasilala sadzawkę, nad którą, na czworogrannym kamieniu, stał kupidynek ze strzałami, obwiedziony balustradą. Dalej znów wytryskało źródło, a nad niem Neptun, w pobliżu altanka z gankiem malowana, obok niej stał żołnierz z piką, rapirem, jedną nogę trzymający naprzód, drugą w tył, jak gdyby chciał powiedzieć: „placu dotrzymam”. W pobliżu stał kompas; autor

tęgo opisu zbliżył się, chcąc zobaczyć która godzina, aliści zniknął cień, wytrysnęła znieńcka i oblała go woda. Poskoczył między krużganki okryte drzewami owocowymi: „przy nich z marmuru srogi żołnierz mierzący piką i delfin z rozwartą paszczą, na nim chłopiątko z pałką w ręku, wszystko z marmuru kunsztownie zrobione. Wszędzie rozmaite kwatery z najrzadszych kwiatów i ziół, w rogach niby baszty sklepione z drzew dają schronienie i cień w czasie upałów. Na górze stoi miśtorny wiatrak, rozprowadzający wodę w różne strony. Na słupie koń z marmuru dziwnej roboty. Przed domem ogrodnika rozmaite cudzoziemskie rośliny: pomarańcze, figi, kapary, kasztany, oliwy, kaule, rapy, kardy, finoki, selery, angury, gwardy, ogórki, cytryny i sławne ziele tabaka”.

Między innymi ogrodami, Jarzebski w opisie Warszawy wymienia: „Za bramą zamkową ogród niewielki z kwiatami, owocami i krynicą, która kołem wody zamkowi dodaje. Za pałacem Kazanowskich (gdzie dziś dom Towarzystwa Dobroczynności), między wieżami od Wisły wielka altana z przeplataniem, z obu stron stoją rzędem ganki z rozmaitemi pachnącemi kwiatami, ztamtąd zachwycający, pyszny widok na pola, lasy, i płynące ze zbożem statki. Ku Wiśle ciągną się ogrody opasane murem, po rogach są baszty, gdzie siadywać i podwieczorki jeść można, ztamtąd widzisz wszystkie piękności, w około muru są jeszcze miejsca próżne, gdzie zagraniczne rośliny sadzone być mają. W pośrodku sala z kratką dolną, słuszenie belwederem nazwana”.

Przy dworze Daniłowicza, podskarbiego koronnego, (gdzie później mieściła się biblioteka Załuskich), znajdował się ogród, „w którym drzewa pod sznur ciągnione; pełno w nim rzadkich kwiatów, są tam łaźnie i altana, gdzie bardzo piękne obrazy”.

Na Długiej ulicy były wygodne austerye z łaźniami, fontannami i ogrodami. Przy ulicy Senatorskiej, do dworu Warzyckiego, wojewody mazowieckiego, należał ogród, w którym rodziło się wino, a po ganku pięły się pachnące róże. Za miastem, przed pałacem Ujazdowskim ciągnął się ogromny zwierzyńiec, pełno w nim jeleni, królików, zajęcy, sarni, tu i owdzie zarybione sadzawki, miejsce rozkoszne rozmaitością bujnych łąk, borów, gajów, dolin i gór. Do starego Ujazdowskiego dworu dwa dotykały ogrody; obszerniejszy, na owoce i włoszczyznę przeznaczony: sadzono w nim figi, które można było mierzyć korcami.

W dziełach dawnych pisarzy o ogrodach naszych luźne tylko napotykamy wzmianki. Do rzędu znakomitszych zaliczono: w Balicach, ogród pełen rzadkich w tym kraju owoców i winogron,

fig, brzoskwiń i moreli; w Tenczynie, w Wiśniczu o milę od Bochni, w Prądniku pod Krakowem, w Wąchocku, w Czarnkowie blisko Wiślicy, w Lewartowie, w Czersku na górze zamkowej, za czasów królowej Bony,—w Brześciu Litewskim, w Białym Radziwiłłowski. W Radziejowicach pod Warszawą, w czasie przejazdu królowej Maryi Ludwiki, zwracał uwagę podróżnych ozdobny i wesoły ogród; z jednej strony wody, z drugiej kwiaty, szpalery i altany do odpoczynku i gry. Wniście do ogrodu odpowiadało głównej ulicy. Wśród zwierzyńca był strumyk, dostarczający ogrodowym kanałom wody. Z drugiej strony zamku, wśród stawu, stał dom okrągły nakształt wieży, w nim wiele gołębi.

W drugiej połowie XVII wieku, mianowicie za panowania króla Jana Kazimierza, w skutek wojen i zamieszek domowych, podupadły piękne ogrody. Król Jan III zajmował się upiększeniem ogrodów w swych majątkach, i jak wieść niesie, własną ręką sadił drzewa. Królowa Marya Kazimiera, będąc jeszcze za pierwszym mężem, Zamojskim, założyła piękny ogród w Wysocku. w Warszawie, na początku XVIII wieku, dwa nowe powstały ogrody: Krasińskich, założony wraz z pałacem przez Jana Bonewenturę Krasińskiego, wojewodę płockiego, następnie Saski, przez Augusta II (1724 r.). Ogród Saski według pierwotnego planu zacieśniony był kwaterami drzew owocowych i kwiatów, oraz różnymi domkami. W końcu dopiero zeszłego wieku urządził go na sposób angielski Savage, słynny ogrodnik puławski. Powstały nadto za Augusta II znakomitsze ogrody: w Leniewie nad brzegami Narwi, założony przez Jeruzalskiego i w Oleszycach, przez Sieniawskiego, hetmana w. koronnego. Córnka tegoż Zofia, zamężna najprzód za Denhoffem, później za Czartoryskim, wprowadziła w Puławach obszerne sady i urządziła ogród pocięty w szpalery.

Świetniejsza epoka dla naszych ogrodów rozpoczyna się z wstąpieniem na tron Stanisława Augusta. Król ten, brat jego księżę podkomorzy i księżna Izabella z Flemingów Czartoryska, pierwsi dali u nas popęd do zakładania parków angielskich, gdzie w połączeniu drzew, urządzaniu klombów, trawników i widoków, miano głównie na myśli naśladowanie natury, czyli raczej korzystanie z najpiękniejszych jej wzorów. Zaniechano obcinania i strzyżenia drzew, które przedstawiają się najpoważniej i najnadobniej w naturalnych kształtach. Podobnież dawne, wycinane pod sznur w prostych liniach szpalery, zastąpiono gajami czyli laskami, poprzecinanymi krętymi ścieżkami i ulicami dla przechadzki i widoków. W opisie kilku najsłynniejszych ogrodów, założonych w kraju naszym pomiędzy 1769 a 1800 r. — znajdzie się

próbą dobrego smaku, a nawet po części pewne cechy moralnego usposobienia ich założycieli.

Opis ten zaczniemy od ogrodów warszawskich, a najprzód od Łazienek, które po dziś dzień istnieją i znane są wszystkim mieszkańcom tutejszego miasta. Wspominany wyżej Ujazdów z pałacem, zwierzyńcem i ogrodami, gdzie królowie nasi zabawiali się łowami, na mocy uchwały sejmowej 1683 roku, przeszedł na własność Stanisława Lubomirskiego, marszałka W. Kor. Ten, na miejscu starego dworu wystawił piękny pałac, urządził zwierzyńiec i ogrody, nakoniec wymurował łazienkę ozdobioną rzeźbą i obrazami w miejscu, na którym stoi terazniejszy łazienkowski pałac. August II-gi zadzierżawił Ujazdów z przyległościami w 1720 roku od Teodora Lubomirskiego, starosty spiskiego i utrzymywał starannie zwierzyńiec, w którym chętnie zabawiał się łowami. Opustoszał Ujazdów za panowania następnego króla. Na miejscu, gdzie widzimy obecnie piękny park łazienkowski, rozścielał się las bagnisty wysadzany olchami. Zakupił tę posiadłość od Lubomirskich Stanisław August Poniatowski, stolnik w. księstwa litewskiego, przed samą elckcyą. Wkrótce po wstąpieniu na tron postanowił król przebudować łazienkę na pałac, a na miejscu zwierzyńca założyć park okazały. Rozpoczęto roboty pod kierunkiem samego króla i budowniczego Dominika Merlini w 1767 r. Najtrudniej było z urządzeniem parku, z powodu powietrza zarażonego wyziewami z zapleśniałych sadzawek. Dopiero po wielokrotnych próbach i usiłowaniach, połączonych z wielkim nakładem, udało się oczyścić powietrze, przez skierowanie do parku strumienia z pod Rakowa. Ukończono roboty w 1788 r., wtedy też stanął na kamiennym arkadowym moście pyszny posąg Jana III, dzieło Pincka. Ztąd piękny widok na pałac, staw i okalający go lasek, przecięty w różnych kierunkach ulicami. Z drugiej strony pałacu, pomiędzy nim a wodą, dziedziniec zapełniony posągami, pomarańczowemi drzewami i fontannami. Na tym dziedzińcu stały niegdyś klatki z papugami i przechadzały się strusie. Na drodze prowadzącej do teatru stał niegdyś posąg Tankreda i Kloryndy, dzieło Pizanich, snycerzy włoskich, przewieziony później do Puław. Na stawie wysepka, a na niej wśród sztucznych rozwalin, mających wyobrażać ruiny Palmiry, urządzono letni teatr. Na przeciwnym brzegu wzniesiono amfiteatr na 1500 widzów, ozdobiony u góry figurami w postawie siedzącej, przedstawiającymi celniejszych dramatycznych mistrzów; dzieło Tomasza Rhygi'ego. Przedstawiane tu za Stanisława Augusta sztuki, mianowicie balety: Kleopatra, kapitan Sanders i inne, ściągały mnóstwo widzów. W różnych stronach parku

rozrzucono domki i pałacyki, gdzie pierwotnie krewni króla i osoby z jego dworu przemieszkwały.

Na lat kilkanaście przed ukończeniem robót w Łazienkach, brat króla, książę podkomorzy, urządził na przedmieściu Solcu, na zakupionej przestrzeni gruntu, ogród na sposób angielski. Na brzegu pięknego trawnika, okolonego drzewami i chatkami wiejskimi, stał dom gotycki, zawierający wiele komnat jaknajstaranniej przyozdobionych. W pewnym oddaleniu od tego domu, nad sadzawką, wznosił się budynek przedstawiający stary młyn, postawiony zapewne dla uzupełnienia wiejskiego krajobrazu. Nieco dalej nad sadzawką, obszerne ruiny, wewnątrz których były pokoiki nader bogato urządzone. Za rozwalinami wznosiła się obszerna łaźnia, o pięknych komnatkach przybranych ozdobnie, z ozdobami na ścianach. Nad wodą usypane wzgórce, okryte winnicą, zasłaniało część ogrodu. Miał tu ks. Kazimierz Poniatowski wielką oranżeryą i ananasarnię, dostarczającą rocznie do 5000 ananasów. W lat parę po urządzeniu pomienionego ogrodu zakupił książę podkomorzy ogromną pustą przestrzeń na przedmieściu od ulicy Nowy świat, bliżej ku staréj Warszawie, gdzie dziś szpital św. Łazarza, oraz cała ulica Książęca, aż po instytut Głuchoniemych. Na przestrzeni téj założył nowy, nierównie wspanialszy ogród. Obok groty wykutéj w skale była kaskada, spadająca z góry pokrytéj drzewami i dzikimi krzewami. Przed tą grota rozpościerała się ogromna sadzawka z wyspą, a na niéj pawilon chiński. Most łączył z lądem tę wyspę zarośniętą krzewami. Z drugiej strony groty wchodziło się do wąwozu, na początku tegoż stała stara, niby wiejska gospoda, o kilku pięknych komnatkach. Przeszedłszy wąwóz napotykało się na wzgórzu okrągłą świątynię, którą podpierały kolumny jonickiego porządku; w środku niéj stał ołtarz. Wznosiła się na skale utworzonej z kamieni ciosowych; opasujące ją wysokie drzewa ledwie jéj stóp dotykały. W inném miejscu, w dolnej części ogrodu, był piękny gabinet, a pod nim druga grota ozdobiona wodotryskiem. Przeprowadzono w ziemi ulice i kręte chodniki; otwory z góry wpuszczały światło do tych dróg podziemnych; postępując niemi trafiłeś na drzwi, a te otwierały się nagle przed tobą i wchodziłeś do sali z piękną, ozdobnie wyżłobioną banią, z otworem u góry, z kąd wpadało światło dostateczne do oświecenia tego podziemia. Banię utrzymywały kolumny, którym nadano pozór marmurowych, również ściany odznaczały się zręcznym naśladowaniem naturalnego marmuru. Ośm popiersi cesarzów rzymskich ozdabiało ściany, a na drzwiach były umieszczone płasko-

rzeźby. W inném miejscu był piękny lasek brzozy, przecięty ulicą prowadzącą do oranżeryi. Na wzgórzu zwracała jeszcze uwagę wieżyczka turecka czyli minaret, do którego wchodziło się krętymi schodkami. Ogród księcia podkomorzego stanowił miłe miejsce przechadzki w porze letniéj dla warszawskiej publiczności. Tu książę Kazimierz wraz z królem swym bratem podejmowali w 1778 r. słynnego angielskiego uczonego i pisarza, Wilhelma Coxe'a, podczas jego pobytu w Warszawie. Wprowadzono go wieczorem do opisanéj dopiero co podziemnéj sali. O wycieczce téj Coxe tak między innemi pisze: „Postępowaliśmy długim i ciemnym podziemnym korytarzem, oświetlonym w pewnych odstępach bladym światłem lamp. Zatrzymaliśmy się przede drzwiami niby wiejskiej, skromnéj chaty. Atoli otworzywszy je, ujrzeliśmy zdumieni przepyszny salon, oświetlony ogromną ilością lamp. Salon był okrągły o przeszlicznej kopule; na suficie były malowania al-fresco, wyobrażające Bachusa i Sylenusa”. . . Oczarowanie gości było zupełne, skoro usłyszeli uroczę dźwięki muzyki, poczem wniesiono stół i zastawiono na nim wieczerzę. Uczony Anglik wyniósł jak najmiłsze wrażenie z téj niespodzianki, a nie mniej z rozmowy z królem, którego gruntowną znajomość literatury angielskiej podziwiał i nazywał go jednym z najwykształceńszych i najmiłszych ludzi.

Budowniczy Szymon Bogumił Amadeusz Zuk pozostawił opis ogrodów Warszawy i jéj okolic z 1784 r. Wymienia on oprócz powyższych jeszcze kilka większych ogrodów, mianowicie księcia Stanisława Poniatowskiego, na tejże samej górze, na której rozciągał się ogród jego ojca, księcia podkomorzego, ale bliżej ujazdowskiego zamku. Dalej, ogród założony na przedmieściu Nowy świat przez hrabinę Brühl, żonę ministra, następnie własność ks. Sapiehy, kanclerza w. księstwa litewskiego. Ogród założony przez barona de Riancourt przy ulicy kapucyńskiej, później własność Borchów, otwarty był dla publiczności. Wylicza też i inne mniejsze, ale nie podaje ich opisu, ograniczając się na ogólnej wzmiance, że zdobią się pomarańczowymi drzewy, kwiatami lub oranżeryami. W epoce téj ogród Saski był zaniedbany, chociaż odwiedzała go licznie publiczność Warszawska. Tenże autor pisze o nim: „Składa się z długiego i szerokiego parteru otoczonego lipami, dzikimi kasztanami, wyniosłymi parkany i niekształtnymi posągami. W końcu tegoż parteru wznosi się budynek w kształcie otwartego salonu, ozdobionego kolumnami i pilastrami porządku korynckiego; pierwotnie, za królów saskich, przeznaczony był na rezerwar wód do fontann, które miano wystawić;

dziś sala ta służy za miejsce sprzedaży różnych napojów i pokarmów, dla wygody przechadzających się osób. Za budową tą znajdują się jeszcze cieniste aleje. Z dwóch stron parteru dotykają sady i ogrody warzywne z zabudowaniami. Środek ogrodu otwarty jest dla wygody publicznej. Za poprzedzającego króla oranżerya i grędy kwiatów zdobiły pomieniony parter, dziś miejsce ich zajmują trawniki, a ulice i parkany nie są utrzymywane dość starannie; dwór bowiem nie czyni odpowiedniego nakładu, tak, że sala, w niezłym wcale zbudowana smaku, bliska jest zupełnej ruiny”.

Tak przedstawiał się ogród Saski w 1784 roku. Drugim publicznym ogrodem był Krasińskich; pomieniony autor tak o nim pisze: „Mniej obszerny i mniej ocieniony niż ogród Saski, urządzony jest w sposób daleko nowszy; przytykający pałac jest zbiorem budowli proporcjonalnych kształtów.”

Z pomiędzy ogrodów znajdujących się w okolicach Warszawy odznaczały się, wedle opisu Zuga: w Mokotowie i w Powązkach.

Park w Mokotowie założyła księżna Lubomirska, z domu Czartoryska, marszałkowa w. koronna, na przestuzeni za parkiem łazienkowskim i okopami. Wystawiła księżna na górze dom ozdobny, następnie bramę z okrągłą wieżą i pawilon, z którego piękny widok na miasto i sąsiedni gościniec. Z tego pawilonu do domu było przejście przez sad i zielone wzgórze. Na ganku stały w wazonach cyprysy i inne południowe rośliny w wazonach. Za sadem były oranżerye i cieplarnie; drzewa owocowe i dzikie ocieniały budowlę. Pomiedzy domem księżnej a laskiem był parter zapelniony kwiatami. Kręte w różnych kierunkach ścieżki przecinały lasek, zasadzony różnego rodzaju dzikimi drzewami i krzewami. Ścieżką dochodziło się po lekkiej pochyłości ku fontannie. W pięknej tej ustroni, obfitej w krzewy i kwiaty, były kamienne ławki mchem okryte, a wśród gęstego gaju wznosiła się ośmiokątna budowa naksztalt salonu, którego dach wspierał się na szesnastu kolumnach, to jest na szesnastu pniach olchowych z korą. Cztery były wnijścia do tego salonu z czterech ulic. Zewnątrz cała budowa pokryta była korą. Wewnątrz ściany osłonięte były matami angielskimi, o szerokich szlakach z mchu szarego, podłoga mozaikowana z kamyków. Ścieżki wijące się wśród gaju prowadziły do groty o dwóch wnijściach. Grotę, zbudowaną po części z marmuru krajowego niepolerowanego i z ułamków skał, okrywał bluszcz i inne rośliny. Była tu kaskada spadająca do sadzawki; na wzgórzu naprzeciw groty altana: na czterech słupach wspierał się dach okryty trzcina, piękny ztąd widok na grotę i na

kaskadę. W niższej części parku, na równinie, były sadzawki i kanały połączone pięknymi mostkami.

Brzegi sadzawek wyłożone były darnią, ocienione wiązami i innymi wyniosłymi drzewami. Nad brzegiem jednej z sadzawek wzniesione były chaty rybackie, przed nimi narzędzia służące do rybactwa. Niedaleko ztamtąd okrągły szałas indyjski, którego ściany utworzone były z młodych zgiętych brzoź, a dach piramidalny okryty trzcina i sitowiem; wewnątrz malowania na sposób indyjski. Po zwodzonym moście, ozdobionym z obu stron kwiatami, przechodziło się nad brzeg sadzawki otoczonej pomarańczowemi drzewami i kwiatami, tamże namiot wpół otwarty, wewnątrz w arabeski pomalowany. Ztamtąd piękny widok na trawnik za wodą położony, na którym pomiędzy brzożami przechadzało się różnego rodzaju ptactwo: pawie, żorawie i bociany. W pewnej ztąd odległości widać było mały folwarczek, złożony z kilku napozór bardzo starych budowli. Z jednej strony trawnika stało kilka chatek, przy nich pasieka z ładnym mieszkaniem; za niemi las gęsty, zakończający ogród z tej strony, przytykał do wielkiego gościńca, który wysokim mostem murowanym łączył się z parkiem królewskim. W innej stronie parku mieściła się przestrzeń kwadratowa, otoczona pomarańczami, kwiatami i ławkami, w pośrodku wielka fontanna. Dalej wzgórze ocienione drzewami, z boku tegoż szeroki kanał, oddzielający ogród od łąki.

Autor, według którego podajemy niniejszy opis ogrodów w okolicach Warszawy, wspomniawszy pobieżnie o Królikarni i Służewie, zastanawia się nieco dłużej nad Wilanowem. Atoli z opisu ogrodów dowiadujemy się tylko, że do pałacu dotykały kwiatowe partery ozdobione pomarańczowemi drzewami, posagami i wazami, będącemi mierną kopią antyków; otaczały je zacienione ulice. Ztąd było przejście po kamiennych wschodach do drugiego parteru, strojnego różnego rodzaju kwiatami, gdzie schodziły się z dwóch stron cieniste aleje. Nad łąką wiślaną, zakończającą ogród, w kilku rzędach stały topole; niektóre z nich miały u dołu do trzynastu łokci obwodu.

Słynny ogród w Powązkach, założony przez księżnę Izabellę Czartoryską, opisywali: Wilhelm Coxe w 1778 roku, oraz Zug w 1784 r. Pierwszy, jako znakomity cudzoziemiec podejmowany nader gościnnie, rozpisuje się najwięcej nad szczegółami przyjęcia, pięknoscia urządzoną dla niego illuminacją i uprzejmością gospodyni. O miejscowości tej pisze: „Letnie mieszkanie księżnej Czartoryskiej w Powązkach leży wśród lasu, w odległości trzech mil (angielskich) od Warszawy. Małe, roz-

rzuczone tu i owdzie wzgórza, oraz wijąca się pomiędzy niemi rzeczka, stanowią główne tło krajobrazu. Pomiędzy drzewami urządzone trawniki w guście angielskim i ścieżki do przechadzki ponad rzeczką. Na pagórku wznosi się dom, zbudowany naksztalt chaty wieśniaczej. Oprócz tego domu, zamieszkałego przez księcia i jego małżonkę, są inne chaty przeznaczone dla dzieci książąt i ich sług. Każdy domek jest okolony ogrodem. Znajdują się jeszcze zabudowania innego rodzaju, rozrzucone na różnych miejscach. Są to altany, namioty, lub sztuczne niziny. Stajnie zbudowane są w kształcie amfiteatru w połowie zrujnowanego. Fantastyczne mosty, utworzone z pniałów i gałęzi, uzupełniają widok tego wiejskiego obrazu”.

Dokładniejszy jest opis Zuga. Dowiadujemy się z niego, że Powązki w początkach panowania Stanisława Augusta były nędzną wioszczyną w błotnistej miejscowości, zarosłej olchowym lasem. Księżna Izabella Czartoryska, po powrocie z Anglii, zamierzyła tu urządzić dla siebie letnie mieszkanie i park, ale w którymby wszystkie szczegóły zlewały się w harmonijną całość, przedstawiającą obraz pięknego lecz skromnego wiejskiego ustronia. Zabrano się z wielką energią do wykonania tego planu. W ciągu lat kilku, za pomocą przekopanych rowów i urządzonych na błotach stawów, osuszono miejscowość: tam, gdzie nie można było usunąć wilgoci, sypano groble, a na nich zaprowadzano drogi bite, wyspane żwirem. Ukazały się na miejscu trzęsawisk piękne zieleniejące wzgórza i doliny. Las poprzecinano w rozmaitych kierunkach ulicami i ścieżkami. Nie sadzono drzew nowych, lecz korzystano ze znajdującego się na miejscu materiału, chciała bowiem założycielka wykazać próbę swego poczucia estetycznego, zamieniając las w park ozdobny, za pośrednictwem środków jak najprostszych. Drożyny, wijące się w różnych kierunkach po lasku, prowadzą do wiejskiego domu, wznoszącego się na zielonem wzgórzu. Poniżej grupa chat pięknych, czyli małych wiejskich domków, różnych kształtów i wielkości, a przy każdym ogródek otoczony niezbyt wysokim płotkiem. W domu położonym na wzgórzu, w którym mieszkała księżna, jedyną prawie ozdobą komnat były piękne, porozwieszane na ścianach obrazy. Odnaczała się tylko łazienka, której ściany okrywały kosztowne kafle z saskiej porcelany. Wyszedłszy z domu trafiałeś u stóp wzgórza na grupę starych jodeł, ocieniających rozwaliny łuku tryumfalnego rzymskiego, nawpół okrytego ziemią i zielenią. Ztąd widok na piękny trawnik, otoczony z jednej strony drzewami; za nim sadzawka, a nad jej brzegami ruiny amfiteatru rzymskiego, w których znajdowały się stajnie.

W pobliżu tego amfiteatru, w czasie pobytu Coxe'a w 1778 r. stał namiot turecki, który miał być niegdyś własnością wielkiego wezyra. Postępując w innym kierunku, spotykałeś obszerną sadzawkę, której dwa brzegi łączył most pływający. Ponad tą sadzawką sad, a dalej łąka, ożywiona widokiem pasącego się bydła, dla którego wybudowano folwark, w kształcie gotyckiego domu z okrągłą wieżyczką. Ścieżka ponad wodą wiodła do lasu, gdzie stało kilka pięknych chatek, dalej ruiny starego młyna i malownicza kaskada. Niedaleko ztąd w tymże lasku, na jednym wzgórzu stały ruiny starego zamku, a na drugim przeciwległym stara baszta, oraz reszty mostu sklepionego, który łączył te dwa wzgórza. Nad brzegiem kanału, w ustronnym domku mieszkał pustelnik, który był nadzorcą całego parku. W części lasu urządzono menażeryą dla rozmaitego zagranicznego ptactwa.

(D. c. n.).

HONOROWY STÓŁ KRZYŻACKI.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW.

przez M. . a.

(Dokończenie).

Niezdługo przybyto do celu, to jest do obszernej przedmiejskiej gospody niedaleko Floryańskiej bramy; pełno tam było różnych gości tak, że ledwo w szopie znalazł się kąt próżny, gdzie rycerz, nie chcąc nikogo zaczepiać i nie popisując się wcale z zamożnością, ale rozkazując po żołniersku, kazał postawić lada próżną beczkę do góry dnem i kilka porządnych dzbanów miodu na niej, który się cenić nauczył odkąd w Polsce gościł. A już zbliżając się do gospody pchnął rycerz przewodnika swego do Floryańskiej bramy do pana Folstera, z wiadomością że rycerz Richartsdorff czeka z dzbanem miodu i otwartem sercem w gospodzie pod Floryańską bramą, na przyjaciela swego pana Folstera. Folster był to także Niemiec, między Szlązakami ich było wielu, rycerza rzeczywiście znał, acz nigdy nie ważyłby się uznawać przyjacielem tak wielkiego jak Richartsdorff pana. To też z wielką radością pośpieszył na tak zaszczytne wezwanie, tem bardziej, że nie odrywało go ono wcale daleko od miejsca jego strażowania i że każdemu miło jest spotkać ziomka i dawnego znajomego w obcym kraju. Mały orszak Richartsdorffa, otaczający księżnę ścisłym kołem, stał nieporuszony na koniach u wrót gospody na gościńcu, gdy sam Richaertdorff patrząc nań ciągle przez otwarte na oścież szopy wierzeje, pił i ścisnął się z panem Folsterem, co jako żywo po

raz pierwszy się z tym ostatnim zdarzało i upoiło go pychą prawie tyleż co stary miód mocą swoją. Nic łatwiejszego było rycerzowi, jak nakłonić Folstera, aby sam osobiście dla bezpieczeństwa od wzburzonych Krakowian, przeprowadził go wraz z małym orszakiem przez Kraków do stóp Wawelu, do domu przyjaciela Folsterowego a Richartsdorffowego przewodnika, tego z którym to Folster kufle w ratuszowej piwnicy zwykł był suszyć. W godzinę później księżna wraz z dziećmi znajdowała się już w tym domu, a nazajutrz po całodniowej gościnie Richartsdorffa u wójta krakowskiego Niemca, otrzymała księżna pozwolenie wejścia jawnie wraz z synem na zamek, jako żona jednego z zamkowych obrońców, przychylna stronnictwu szlążkich Piastów i mająca liczne a tajemnicze od Wójta polecenia, przez Richartsdorffa jej przyniesione, zawierające mnóstwo świetnych obietnic dla obrońców zamku, wrazie ich poddania tegoż zamku oblegającym go Szlążakom i przystania do szlążkich Piastów stronnictwa a opuszczenia księcia Łokcia.

Hans i Fritz, nieodstępni, z dłońmi na mieczach, idąc krok wkrok za księżną, szczerze niewieściami rąbkami osłoniętą i przeprowadzaną przez Richartsdorffa, z trudnością zachowywali konieczną powagę, dusząc się od śmiechu przy przebywaniu gromady licznych szlążkich żołnierzy, Niemców najemnych oczywiście, oblegających wawelskie mury ścislemi szeregi. Cóżby dało było szlążkie stronnictwo i wszyscy ci Niemcy na jego żołdzie będący, gdyby mogli byli pochwycić to dziecię z matką, którym nie znając ich wysokiej godności pozwala i teraz uchodzić tak spokojnie z rąk nieprzyjaciół! Fritz nie wchodząc wcale na zamek zwrócił się od murów, gdy tylko księżna z synem i dwoma towarzyszami za nie weszła i żwawo pobiegł wedle rozkazów rycerza przygotowywać wypoczęte rumaki do śpiesznej podróży. Tymczasem na zamku mimo radości cicho się sprawiono przez ostrożność, aby ani jednym okrzykiem nie naprowadzić oblegających na niebezpieczne domysły, niebezpieczne dla rycerza i jego towarzyszy. Księżna dla tego właśnie nie odsłaniając rąbków, któremi się wraz z synem okryła, weszła aż w głąb drewnianego zamku, by widokiem swym nagłym nie obudzić zbyt głośnego zapału obrońców jego. Weszła więc niepoznana, choć stary dowódzca, znający ją od dziecka, wprowadzając na zamek, dziwnie jakoś z ukosa na nią poglądał, ale wszedłszy na zamkową salę dopiero ukląkł przed swą panią ukochaną, którą poznał od razu jak się pokazało. Tu księżna zdjęła zasłony i rzekła do przyklekającego przed nią na pożegnanie rycerza:

— Szlachetny rycerzu! Bóg tylko sam jeden mocen jest wynagrodzić wam to, co uczyniliście dla Łoktkowego syna i żony, ja dziękuję wam tylko i modlić się będę za waszą pomyślność przez całe życie. Jeżeli nie przyjmuję ofiary waszej pozostania tu z nami i bronienia nas i tego zamku mych praojców przed oblegającymi go napastnikami, to wcale nie dla tego, abym pożądanymi waszemi usługami gardziła, lecz że wiem już od was samych, jak ważny cel nagli was do podróży na północ. Owszem, mogę was nawet zapewnić że powinniście się spieszyć, gdyż właśnie, jak już wam wspomniałam, między innemi otrzymałam i tę wiadomość wczoraj za murami jeszcze tego zamku, że wyprawa na pogan stanowczo jest przez W. Mistrza obecnie przedsiębraną, a z nią zbliża się i uroczystość Stołu. Zatem ja sama, jak niedobra gospodyni jaka, zamiast zatrzymywać cię, gościu, mówię i rozkazuje tobie: wstań i jedź! Bóg niech opiekuje się nami! i wami! — Rycerz wstał na ten rozkaz, a wtém na skinienie pani przystąpił sługa i podał puhar po brzegi nalany, a pani rzekła do syna:

— Pij z puhara tego, Kazimierzu i podaj go sam temu rycerzowi, aby mu wdzięczność naszą okazać.— Chłopię chowane po królewsku, acz małeńkie, spełniło ten rozkaz rozumnie. Rycerz wychylił puhar. Wtedy dopiero zaprosiła księżna rycerza na posiłek, czego on mimo pośpiechu nie mógł odmówić, po tak uprzejmie królewskiem przyjęciu. Chciał on istotnie pozostać zrazu na zamku dla obrony jego, ale księżna, dowiedziawszy się o przyczynie powołującej go do Malborga, sama oparła się temu. Wierni obrońcy księżnej i jej syna, druhy Łoktkowi, wnet zgromadzili się w sali, serdecznie witając swą panią i przyszłego pana i przyjaźniąc się z rycerzem i jego przybranym synem. Nie tracąc czasu następnie, gdy część rycerstwa polskiego wróciła murów pilnować, reszta pod przewodnictwem małego księcia, księżnej i rycerza, zasiadła do zastawionego stołu. A dopiero gdy po posiłku miano już od stołu wstawać, rzekła księżna.

— I dla tego też życzyłam was, szlachetny rycerzu, na chwil tych parę zatrzymać, abym miała czas przeszłość wam przypomnieć, i to, że nie po raz pierwszy wdzięczność wam jestem winna. — Rycerz utkwiał w księżnie wzrok pytający na te słowa, a ona z uśmiechem wskazując na hełm jego zdala na ławie leżący, rzekła:

— Czy nie pamiętacie przypadkiem, rycerzu, małeńkiej dziewczeczki, która przed laty na rozkaz swój matki przytwardziła wam do hełmu tę przepaskę?

— Co?.. — krzyknął rycerz zrywając się z ła-

wy ze wzruszenia — Czyliż to ja *was* szlachetna pani miałem niegdyś rycerski obowiązek przeprowadzić do Krakowa na Wawel?..

— I przeprowadziłeś rycerzu! nie tylko mnie, ale i syna mego! — podchwyciła księżna.

— O Boże, jakżem Ci wdzięczny! — rycerz zawałał ręce składając — teraz, będę mógł umierać spokojnie?

— Myście raczj o życiu, rycerzu, a nie o śmierci — rzekła Księżna — pamiętajcie, jak wiele jest nieszczęśliwych, słabych i bezbronnych na świecie, dla których wy posłańcem Opatrzności tak jak i dla mnie jesteście.

— O pani szlachetna — rzekł rycerz — tak jestem uszczęśliwiony tćm, iż spełniłem choć po kilkunastu latach mój obowiązek, że błagam cię, pozwól mi do śmierci nosić ten błękit na hełmie i rycerzem twoim pozostać, a że kiedyż bardziej niż w obecnych niebezpieczeństwach potrzebować możesz wiernych obrońców, więc pozwól mi prosię pozostać tu na zamku do powrotu księcia krakowskiego. Jeżeli chybię przez to w uroczystości Honorowego Stołu i nie będę mógł w niej uczestniczyć, to niechże już i tak będzie: ważniejszy i świętszy mi jest obowiązek rycerski, niżeli najwyższy osobisty zaszczyt; a przytćm wiem, iż takim postanowieniem dogodzę najserdecznijszym skrytym pragnieniom syna mego, tego oto Hansa Richartsdorffa, który acz bez żadnych rycerskich praw i zaszczytów i bez wiedzy twój pani, jest przecież w duchu poświęconym tobie na życie i śmierć twoim sługą.

— Bez mój wiedzy? — powiedziała Księżna — tak nie jest, bo widziałem w czasie wspólnej tćj naszej podróży, jak zapamiętałe narażał dla mnie swe życie; a oprócz tego, czyliż sądzisz, że nie poznaję cię, pocziwy Hansie? ja, radziejowska mieszczka, którąm przecież sama uczyniła cię prawie mym rycerzem, nakazując ci wdzięczne dla księcia krakowskiego wysługi? — Hans przy tych księżnej słowach był już u jćj nóg, i płacząc dodał:

— I którą tym rąbkim z własnych włosów zdjętym owijała rany sieroty belką przytłuczonego! — i ukazał Hans skarb swój i talizman, rąbka kawałek wyjąwszy z zanadru.

— Pocziwy byłeś dzieciak, zacny człowiek jesteś, Hansie! — mówiła księżna ocierając nieznacznie łzę, którą na długo trapieniem jćj sercu łatwo wyciskała wdzięczność ludzka, — Ale Bóg nagradza uczciwych, widzę, że nie jesteś już sierotą?..

— Tak, szlachetna pani! sprawdziły się słowa twoje, — odpowiedział Hans — krzyżyk bursztynowy dopomógł mi do odnalezienia ojca rodzzonego, a święta wdzięczność dla ciebie dała mi zys-

kać drugiego przybranego a nie mniej drogiego, gdy księcia krakowskiego szukałem. Rozkaz twój przyniósł mi szczęście, pani, dopełnijże szczęścia tego, pozwalając tu zostać teraz w twojćj obronie! Gdy Hans tak prosił, dobra księżna namyslała się jeszcze co czynić, bo żal jćj było serdecznie zagnę rycerza, który opuściwszy obecną dość rzadko się zdarzającą uroczystość Honorowego Stołu, może nie doczekałby drugiej i nie dosięgłby nigdy najwyższego rycerskiego zaszczytu, na który całym rycerskim żywotem zasługiwał i zasłużył. A wtem wszedł dowódzca zamkowy z pilnemi nowinami.

— Mów! — rzekła księżna — bo jesteśmy wśród najlepszych przyjaciół naszych! — i powiedział dopiero dowódzca:

— Pani! dobre niosę nowiny: popłoch jest pomiędzy najejdzcami, wszystko zapowiada, że od oblężenia zamku odstąpią i z Krakowa bez walki podobno się wyniosą, gdyż popłochu ich ważna jest i jawna przyczyna: oto barwne te znaki, które mi ty sama w mądrości twój nauczyłaś nas rozmawiać się z przyjaciółmi za miastem, dają nam z lasów wiadomość niemylną, że książę nasz zwyciężko i z licznemi hufcami, a śpieszno nad wszelkie spodziewanie, na ratunek nasz bieży z Pomorza, i blisko już jest!

— Czekaście, rycerze moi! — rzekła księżna — pójdę ja dla wszelkiej pewności sama na wieżę rozmówić się z temi, którym w lesie za miastem dla rozmowy takiej czuwać kazałam. — I poszła księżna na wieżę, rycerz z Hansem wyszedłszy na podwórze widzieli, jak na nędznej drewnianej nie dawno spalonej wieży wywieszano kolejno kilka różnobarwnych chorągwi. Poczćm zeszedłszy z wesołą twarzą, księżna rzekła stanowczo do Konrada Richartsdorffa.

— Pan mój i Polski całej dziedzic blisko jest! najejdcy wnet pierzchną; a ja musiałabym nie być córą, żoną i matką rycerzy, gdybym śmiała tchórzliwie dla dzieci i własnej obrony zatrzymać cię, mój rycerzu, narażając cię na chybienie zaszczytu, który jeźli komu na świecie całym, to właśnie tobie, obrońcy niewinnych, słabych i uciśnionych, najśluszniej się należy. Ponawiam przeto mój rozkaz: jedźcie, rycerze! — Niedalój jak w godzinę po tćj rozmowie z księżną krakowską Jadwigą Władysławową, rycerz Konrad von Richartsdorff z giermkim i z synem przybranym śpieszyli już najprostszą drogą na północ do Malborka. Śpieszyli tak gwałtownie, że spotkawszy już o trzy mile od Krakowa zwyciężkie Łoktkowe szyki, umyślnie zboczyli z drogi, aby czasu na rozmowie nie tracić.

— Tybyś pewno miał ochotę przypatrzeć się emu dzielnemu Łoktkowi, którego tak długo szu-

kałes, za którego o mało cię zabiłem? — rzekł pocziwy rycerz do syna — To nie zbaczajmy z drogi przed nim, nie potrzebujemy powiadać mu, cośmy w Krakowie robili, dość będzie powiedzieć, że z Krakowa jedziemy, a sam Łoktek co prędzej o nowiny nas zapyta.

Hans spojrział w zapadłe w rycerskich trudach oczy przybranego ojca, uśmiechnął się, i rzekł:

— Nie, panie ojczy; za nic na świecie nie opóźniajmy naszej podróży! Prawda, że warto w oczy spojrzeć takiemu rycerzowi, który szablą zamek po zamku całe królestwo, dziedzictwo swoje zdobywa i zdobył już prawie; ale nie lichszego ja rycerza widzę, gdy patrzę na was, panie ojczy. Kiedy obowiązek dopełniony, to mniejsza o resztę: śpieszmy do Malborka. A przecież to sama dama wasza, panie ojczy, nakazała wam pośpiech!

— A prawda i to! — żywo zauważył rycerz i zlekka dotknął ostrogą posłusznego rumaka, jakby wspomnienie rozkazu damy dodało jemu samemu ostrogi, jeszcze bardziej niż własne a gorące upragnienie zaszczytu p o ż ą d a n i e. Śpieszono tedy. Podróż odbywała się bez żadnych ważniejszych wydarzeń, bo u takich podróżnych, o żelaznych sercach pod żelazną zbroją bijących, za nic wcale liczyło się kilka napaści od dość licznych band łotrowskich, myszujących jeszcze po kraju, korzystając z jego rozdarcia i nieszczęścia, a których Łoktkowi nie podobna było dotąd w żaden sposób poskromić, przy ważniejszych zajęciach. Jednakże, pomimo że żelazne były te serca rycerskie, były one przecież coraz to trwożliwiej przy zbliżaniu się do celu podróży. Aż nareszcie już w pobliżu Malborka dowiedziawszy się, że wyprawa, zapowiedziana urczyście od roku przeciw poganom, ruszyła dopiero przed dwoma dniami z tegoż Malborka ku Litwie, odetchnęli zmęczeni podróżni.

— Mniejsza o resztę — rzekł rycerz Konrad

von Richartsdorff, dwa dni różnicy nic nie stanowi dla nas; dogonimy ich łatwo, a trzeba dać odetchnąć koniom, bo od tych druhów najwerniejszych zależy na wojnie życie rycerza, co mniejsza, ale i zwycięstwo, co jest daleko ważniejszą rzeczą, i honor rycerski, który jest najważniejszą ze wszystkich rzeczy na świecie. Nie dojeżdżając



Z A R A N O (str. 587).

już tedy do Malborka, zatrzymali się rycerze w *Lubawie* (Lobaü) Tu zatrzymali się całe dwa dni, jedynie ze względu na rumaki. Rycerz, pomimo że miał giermka, przecież sam skrupulatnie jak zawsze opatrywał swego rumaka, który radośnie a głośnem rzeniem witał go, za każdym uka-

zaniem się w stajni. Po tych dwóch dniach, już jednym tchem, bez odpoczynku innego, prócz popasów koniecznych, dopędzili Richartsdorff krzyżackie hufce w Olsztynku (Altenstein). Do miasta tego przybyli wojacy jakoś około południa. Najpierwszem zatrudnieniem po przybyciu były, jak zawsze na każdym spoczynku, starania około koni. Potém Konrad von Richartsdorff zdawał sprawę ze swego posłannictwa W. Mistrzowi, obecnemu osobiście na czele hufców, jak zawsze w czasie uroczystych wypraw, mających na celu uroczystość Honorowego Stołu. „Jak opięcie pasem rycerskim rozpoczynało, tak honorowe zaprosiny do tegoż stołu wieńczyły ostatnim zaszczytem zawód rycerski. Z tego względu, przypominał ten czestny Stół krzyżacki starodawne podanie o okrągłym stole króla Artusa *) Zającie miejsca u tegoż stołu podnosiło umieszczonego tam przez krzyżaków rycerza niejako do godności uczuciowych przy stole Karola Wielkiego paladynów dwunastu, ideałów rycerstwa. Ztąd dostąpienie miejsca u stołu honorowego poczytywali sobie starzy głośni w świecie rycerze za najpiękniejszą dank życia. Nie uśmiechał się im zaszczyt podobny nigdzie indziej, w żadnym innym pod słońcem kraju, u żadnego innego dworu. Bo przemyślni krzyżacy wyrobili sobie u papieżów i cesarzów prerogatywę i przywilej wyłącznego udzielania honoru podobnej uczty rycerskiej. Skoro tedy krzyżacy, rozesłanemi po dworach królewskich i książęcych listami, oznajmili blizkie zastawienie stołu czestnego, wybierał się do Prus każdy sławny wojownik, ciągnął tam każdy stary hohater, wiedziony życzeniem ostatniej palmy rycerstwa. Ze wszech stron świata nadpływali godni i niegodni współzawodnicy. Książęta prowadzili z sobą tłumy krajowej szlachty, aby jak najliczniejszych sławy swojej mieć świadków. Ubodzy rycerze sprzedawali ojczyście posiadłości, ostatek mienia swojego, niekiedy nawet w ogromne brnęli długi, aby tylko zebrać środki do tej podróży. Stanawszy na miejscu, musiano często przez długie tygodnie i miesiące żyć w Prusiech o własnym koszcie, wypróżniać trzos z pieniędzy, zostawiać niemałe skarby w kraju, oczekując wyprawy przeciw poganom, a z nią chwili uroczystości”. W Olsztynku odprawiono wielkie nabożeństwo, poczem dosiadło koni rycerstwo i poszło dalej w drogę, aż w pobliżu Aleksoty i na pograniczu litewskim stanęło. Tu, po litewskiej już stronie za Niemnem, wznosiła się nie wielka, ale silna i dobrze osadzona, mocno uzbrojona warownia litewska, strzegąca gra-

nic z tej strony: na tę strażnicę uderzyła część rycerstwa. Litwini bronili się zawzięcie, ale rycerstwo nieliczne lecz wyborowe, złożone właśnie z gości rycerskich i tylko samego czoła krzyżaków, uderzało tak, jakby prawdziwie i na wskroś żelazne było, wraz z rumakami. Umyślnie dla wspaniałości i powagi tego boju, cały tłum przybyłego rycerstwa asystował mu tylko zdaleka; stojąc w nieruchomych milczących szykach, nie biorąc w nim żadnego udziału, a patrząc nań raczej niby na wzór, na lekcję, na przedstawienie uroczyste prawdziwie rycerskiego widowiska. Pomimo rzeczywiste walecznej obrony, pomimo że ściśle zastosowano ilość bojowników tak, aby ta nie przechodziła sił litewskich, przecież po kilku godzinach tej dziwnie poważnej, milczącej walki, zastęp żelazny rycerski stanął na rozpadłej w gruzy warowni i po chwili sprawiszy się w szyk porządnym, zszedł z niej spokojnie, wracając do przygotowanych tymczasem przez służbę namiotów, dla chwilowego panów swych spoczynku. Teraz ruszyło się patrzące dotąd beczynn timer pod rządn timer rycerstwo; do niego należało rozpędzić i przegnać tak daleko rozpierchłych Litwinów i innych, którzyby na pomoc współbraciom dążyli, aby uroczystość mogła się odbyć spokojnie. Konrad von Richartsdorff, wszedłszy do swego namiotu, legł strudzony trochę na obozowym twardym łożu, odpawiwszy modły; ale posiłku nie przyjął żadnego, ani nawet kropli wody, mimo pragnienia i strudzenia, gdyż od zachodu słońca dnia poprzedniego pościł on postem surowym, ślubowawszy nie przyjąć nic do ust, aż do chwili uczty honorowej. Giermek i syn, straż pełniący przy rycerza namiocie, ślubowali też samo skrycie, bez wiedzy rycerza, ale na jego intencją. Tymczasem na gruzach zburzonej twierdzy pogańskiej, na wysokim podniesieniu, rozpinano namiot bogaty nad bogatemi, a pod nim ustawiano Stół Honorowy. Stół to mały, bo tylko dziesięciu doń uczestników-rycerzy zasiada. Ale wprzód pod gołym niebem u stóp tego Stołu zasiadł sąd honorowy, złożony z najznakomitszego rycerstwa, aby osądził i rozstrzygnął, którzy z przybyłych współzawodników mają do Stołu Honorowego zasiąść. Głośno i uroczystie, w obec milczących tłumów słuchającego rycerstwa, roztrząsali rycerze-sędziowie żywot i czyny każdego ze współzawodników do zaszczytu. Hans i Fritz, stojący jako giermkowie za Konradem von Richartsdorff, drżeli skrytem wzruszeniem... na samym żelaznym rycerzu nieznac było żadnego wzruszenia. I oto co stara jedna kronika powiada: „*Pierwsze miejsce* u Stołu Honorowego w ową uroczystość przysądzono jednozgodnie rycerzowi rakuzkiemu, panu Konradowi von Richartsdorff, „który wbrew powszechnemu zwyczajowi, wśród

*) Szajnocha.

„wzorowego, zaszczytnie i zacie pędzonego ry-
„cerskiego żywota, odbył pielgrzymkę do ziemi
„Świętej konno lądem, naokoło morza Czarnego.
„Przyczem w towarzystwie wielu innych rycerzy
„zapisał się był tenże rycerz Konrad w jaskinio-
„wą głąb jakiejś góry i przebył tam dzień cały
„i noc całą. Wszyscy jego towarzysze zginęli tam
„śmiercią tajemniczą, a on sam jeden powrócił.
„Ale póki życia nie chciał nikomu powiedzieć, co
„tam we wnętrzu góry widział lub słyszał”.

Gdy sąd honorowy ukończył swą surową czyn-
ność, okazało się, że zaledwo ośmiu z bardzo li-
cznych kandydatów zostało przypuszczonych do
upragnionego zaszczytu. Wtedy usunęli się sędzio-
wie, cały ogół rycerstwa obszernem kołem otoczył
zdala Stół Honorowy, na zrównanych gruzach po-
gańskieję twierdzy stojący i wśród wspaniałej tój
sali, której ściany olbrzymie stanowiły lasy litew-
skie, o dziewiątej godzinie rano, przy najwspanialszej
a świeżej pogodzie, rozebrzmiał nareszcie dźwięk
trąb potężnych. Przy odgłosie tych trąb, przywo-
ływani przez heroldów zasiadali rycerze, nowi pa-
ladynowie do wielkiej uczty. W. Mistrz zasiadł
na boku, asystując, ale on tylko jeden, wszy-
scy zresztą najwyżsi urzędnicy Zakonu usługiwali:
i uczta rozpoczęła się. „Stół był zastawiony z nie-
„słychanym i niewidzianym przepychem. Wszy-
„stkie naczynia do jedzenia i picia były ze złota
„lub ze srebra. W kosztownych puharach pieni-
„ły się najprzedniejsze gatunki win. Po każdym
„wychyleniu kubka, każdy rycerz - biesiadnik cho-
„wał wypróżnione naczynie złote, jako dar hono-
„rowy i pamiątkowy, do leżącej obok siebie torby
„podróżnej. Niekiedy zamiast wina czary napeł-
„nione bywały dukatami. Stosy złota przechodzi-
„ły tak zwolna przez cały długi letni dzień z kre-
„densów krzyżackich na własność honorową ryce-
„rzy biesiadników. *) Uczta skończyła się pod wie-
„czór.

Wieczorem Konrad von Richartsdorff, wróciw-
szy do swego namiotu i odprawivszy modły, rzekł
do swych giermków.

— Teraz gotów jestem umierać.

Nazajutrz po odbytem znów uroczystem nabo-
żeństwie, rycerstwo w porządnym szykach wraca-
ło do Prus, zkąd następnie rozjechali się goście
rycerscy każdy w swoją stronę. Ośmiu współbie-
siadników pożegnało się ze sobą uroczystie i ser-
decznie w obec całego rycerstwa, które spoglądało
na nich zdaleka, z nieopisaną czcią i uszanowaniem
zaprzysięgając sobie wzajem łożyć wszystkie siły

aby samym doścignąć tych wzorów rycerstwa ży-
ciem nieskażonem i pełnem poświęcenia w obro-
nie słabych, uciśnionych, i niewinnych.

Richartsdorff ojciec i syn wrócili najprzód
pod Lublin do gospody starych Hansów na dni
kilka, aby starzy rodzice ucieszyli się synem jesz-
cze, poczem przybrany ojciec zabrał go z sobą
w świat dla starannego ćwiczenia w cnotach
i obowiązkach rycerskich. Musiał jednakże przy-
rzec starym, że syn będzie ich co parę lat przynaj-
miej odwiedzał. Więc w parę lat odwiedził ich
Hans wistocie, a był on już wtedy giermkim rycers-
kim doskonale w rycerskim zawodzie wyćwiczonym.
A oni mieszkali w nowym dworcu prześlicznym.
A gdy wypadła w tych czasach wojna, to Hans się
tak niesłychanie na niej odznaczył, że odwiedzając
rodziców po raz drugi, był już wspaniałym paso-
wanym rycerzem, i z zamku swego na Richartsdor-
ffie w pysznym ryeerskim orszaku prosto przyby-
wał, a to dla tego, że wielkie i kosztowne podarunki
od przybranego ojca rodzicom swoim przywoził.
A gdy potem w pięknym swym orszaku, na prze-
pysznym rumaku, w drogocennej zbroi, jak słońce
błyszczący wyjeżdżał z bramy pięknego dworca ro-
dziców, to stara Hansowa, patrząc za nim z progu
i lzy ocierając z oczu, powiedziała do męża:

— Oj Hans, Niemcze ty! powiedz ty mi, jakim
to się stało sposobem, że ten, któremu ani śniło się
królowanie, panowanie, bogactwo, zamki i pań-
stwo, który tylko o pezcliwości, obowiązku i wdzię-
czności myślał, jest dziś z łaski Boskiej jak król
bogaty i wielki pan, i zamki ma potężne, a tamci
biedacy dwaj...

Za rano.

Jagna z masłem do miasteczka
Chłodkiem szła aż miło,
Siadła spocząć, kędy steczka,
Bo za rano było.

Dwojak z masłem bardzo blisko
Stawi wedle nogi,
Nie spostrzegłszy, że się psisko
Jakiś włókl wśród drogi

Siedząc, Jagna myśli sobie:
„Towar sam się chwali!
„Tłuste masło! ot zarobię!
Kupię sznur koralii!

Odpocząwszy, Jagna bierze
Masło owo tłuste,
Spojrzy na nie i spostrzeże,
Że dwojaki puste!..

*) Milionowe sumy płynęły na takie uczty. Jakkol-
wiek drogie, wynagradzały się one krzyżakom z lichwą
niezmierną. *Szajnocha.*

Zadziwiła ją przygoda,
 Oko łzą załśniło,
 Zapłakała: „Jaka szkoda,
 Że za rano było”!

I nie zgadła Jagna wcale,
 Choć rzecz była jasna,
 Że nie „rano” winno, ale,
 Nieuwaga własna.

O WŁASNEJ SILE.

Powieść

przez **M. Kr.**

(Dalszy ciąg).

Zostawszy sam jeden w pokoju, który do jutra miał być jego mieszkaniem, Władek ścisnął skroń obiema dłońmi i przez długą chwilę chodził po pokoju, tak głowę oburącz ściskając, bo go bolała ze smutku i wzruszenia, jakby mu pęknąć miała. Ale prędko przestał chodzić bezmyślnie i gwałtem myśli zebrał, gdy spojrzawszy naokoło siebie wspomniął, że tylko do jutra ma czas do namysłu, a jutro będzie trzeba zabrać się do czynu.

Usiadł i przedewszystkiem list długi do proboszcza napisał, opowiadając w nim dokładnie wszystko, co go dotąd w Warszawie spotkało, tłumacząc się, że pozostaje w Warszawie w nadziei wynalezienia rodziców i wyliczając swoje na jutro zamysły. Aby nie lękano się bardzo o niego, opisał, jak się ze swemi pieniędzmi urządzi i jak, gdyby sobie inaczej rady dać nie mógł, do proboszcza wróci. Przrzekł także co tydzień, nie już co dwa tygodnie pisać.

Taki list do skrzynki pocztowej włożywszy, po przyklepieniu na nim marki, Władys wrócił do swego pokoju i pieniądze swoje obliczył, bo dotąd nie wiedział nawet, ile ma w owych zwitkach małych, które mu biedni także ludzie dali. Było tam wszystkiego sto sześć złotych. Więc Władys najprzód złotych trzydzieści w jeden paperek zawinął, i na wierzchu napisał, że te pieniądze są na podróż do proboszcza w razie takiego nieszczęścia, żeby ani rodziców nie mógł odnaleźć, ani sam sobie w Warszawie dać rady. Potem złotych sześćdziesiąt w drugi paperek zawinął, a na wierzchu napisał, że te pieniądze dopiero wtedy ruszy, gdy będzie koniecznie do tego zmuszony. Te dwa zwitki Władys głęboko do woreczka schował i w zanadrze włożył, a pozostałe szesnaście złotych włożył do drugiego woreczka, który sam sobie uszył jeszcze u proboszcza na drobne wydatki na drogę, i przrzekł sobie, że zanim te pieniądze wy-

da, musi albo o zarobek się jaki wystarać, albo rodziców wynaleźć.

Taki podwójny cel miał Władys, zostając w Warszawie; a po namyśle postanowił nawet bardziej jeszcze starać się o zarobek, niż o znalezienie rodziców, a to dla tego właśnie, aby mógł w Warszawie dla szukania pozostać dłużej, niżby można o stu złotych; i dla tego, żeby rodzicom dopomagać, gdy ich znajdzie.

Tak się namyśliwszy i pomodliwszy, położył się, ale tysiące myśli i zamiarów snuło mu się po głowie, długo nie dając mu zasnąć, a i gdy zasnął na koniec, jeszcze sny, to o rodzicach, to o Ludce, a zawsze smutne i przykre, nie dawały mu spokoju.

Nazajutrz wstawszy i ubrawszy się, po pacierzu, przyszło Władysowi na myśl śniadanie, ale uważając, że jeść mu się naprawdę jeszcze nie bardzo chce, a śniadanie tylko z przyzwyczajenia do głowy przychodzi, wyszedł na miasto bez śniadania, aby choć trochę czasu jeszcze zyskać, zanim pieniądze swoje ruszy, bo od pieniędzy tych zależał dłuższy pobyt jego w Warszawie. Poszedł prosto do biura adresowego, jak mu proboszcz jeszcze radził. Już idąc wątpił o skutku, bo nie mógł powiedzieć czem obecnie trudni się jego ojciec, a wiedział, że w biurze adresowem trzeba wymienić imię, nazwisko i rodzaj zajęcia osoby, której się szuka. Jakoż adresu ojca nie dostał. Ale zgryziony niepowodzeniem przypomniał sobie pannę Józefę i postanowił ję poszukać i spróbować, czy przez nią nie dowie się czego o rodzicach. Adres kosztował sześć groszy, ale był na pewno adresem panny Józefy, nauczycielki, mieszkającej na tak zwanem pół-miejscu u jakichś państwa. Władys szedł tam wolniej niż dotąd, bo już był zmęczony.

Mieszkanie znalazł, ale panny Józefy nie zastał, gdyż poszła na lekcye i nie miała wrócić aż wieczorem. Czekać na nią było trudno, a tymczasem Władysowi, na wspomnienie nocy, robiło się straszno. Łatwiej było mówić o przespaniu się na ulicy, niż spać na niej, tembardziej, że się i o swoje pieniądze lękał, bo wiedział przecież, że po nocy nie sami uczciwi ludzie po Warszawie chodzą ale i tacy, jak ów dziad z plastrem na oku. Przychodziło mu na myśl, że możeby panna Józefa mogła mu gdzie tańsze miejsce do spania wskazać, jak hotel; może u swęj matki staruszki, która dawniej w Warszawie mieszkała. U tych państwa, gdzie sama panna Józefa mieszkała, trudno było chyba prosić o nocleg dla jakiegoś dawnego wychowanka... Władys wstydził się ludziom narzucać z prośbą, jak żebrak, aż się rumienił, myśląc o tém, a przecież wszystkie te myśli tłoczyły mu

się do głowy. I koniec końców postanowił wrócić jeszcze raz przed wieczorem do panny Józefy. Tak sobie myśląc, postanowił szukać sobie roboty, a ponieważ ciągle mu była w głowie chęć zostania artystą, a pamiętał dobrze, iż koło Powązek były miejsca, gdzie kuto z kamienia i marmuru pomniki, poszedł tymczasem w tamtą stronę. Uczuł głód i wszedł do pokoju, nad którym stał napis *kawa i mleko*, wypił szklankę kawy, zjadł parę bułeczek, zapłacił i poszedł. Koło cmentarza ujrzał poza sztachetami przy drodze duże place, wypełnione kamiennymi płytami, krzyżami, posągami grobowymi, między którymi były nawet bardzo ładne, co Władek już poznać umiał. Małe jakieś domki i duże szopy, składy drewniane, ukazywały się w głębi za owymi placami, które były między sobą poroździelane, miały osobne wchody od ulicy przez bramy ze sztachet i widocznie należały do różnych właścicieli. Idąc teraz wolno koło sztachet, przypatrując się posągom i myśląc na który plac wejść, nagle stanął Władysław; jakby sam skamieniał, na widok anioła wykutego z kamienia. Było to prawdziwe dzieło sztuki; Władysławowi serce biło; ten, kto tego anioła zrobił, nie był prostym kamieniarzem, ale artystą. Władysław ani wiedział kiedy się tuż u stóp anioła w głębi kamieniarzkiego podwórka znalazł. Stanął wpatrzony w anioła.

— A czego to — spytał go młody człowiek w bluzie szafirowej, w czapce głęboko naciśniętej na głowę, piłujący jakiś kamień, jakąś maszyną, pod której piłę wody dolewał ciągle po trosze.

— Chciałbym widzieć się z samym panem rzeźbiarzem — rzekł Władysław uchyłając kapelusza.

— Pan profesor o tej godzinie jeszcze jest w szkole; niech kawaler poczeka, jeżeli chce czekać, to się z panem zobaczy — powiedział człowiek w bluzie, widocznie prosty jakiś robotnik, a nie artysta żaden.

I piłował dalej.

Władysław usiadł na wielkim kamieniu i czekał. Za nic w świecie nie chciałby teraz odejść ztąd przed zobaczeniem się z profesorem, bo ten wyraz *profesor* podziałał na niego, jakby go oczarował. Profesor!.. rzeźbiarstwa oczywiście. Czyliż nie sam Pan Bóg do niego zaprowadził Władysława? Wszak profesor właśnie mógł poznać się na zdolnościach i pomódz im, jak Michał-Anioł Buonarrotti zdolnym uczniom pomagał. Władysław czekał i czekał, tymczasem zmierzchało się na dobre.

— Pan profesor spóźnia się dzisiaj... — rzekł Władysław dosyć niezręcznie, aby tylko zacząć rozmowę.

— Bo też już dziś wcale zapewne nie przyjdzie, aż jutro — odpowiedział robotnik w bluzie, idąc powoli do bramy, a kluczem w ręce machając.

Władysław pożegnał go uprzejmie, wypytawszy o jakiej porze jutro profesora zastanie i wyszedł. Szedł teraz do panny Józefy, na drugi koniec miasta, chcąc jej poprosić, aby go zaprowadziła do swojej matki na noc i na następne nocy, za zapłatę, byle nie tak wielką, jak w hotelu. Szło mu raz o pieniądze, a powtóre o to, aby się między znajomymi znajdować. Serce mu biło niepokojem; noc zapadała; on biegł. Dobiegł i wszedł na drugie piętro do znajomego już sobie mieszkania. Panny Józefy jeszcze nie było z lekcji. Władysławowi pozwolono czekać; więc usiadł i czekał. Wybiła godzina dziewiąta na zegarze, stojącym na szafie.

— Panna Józefa zapracowała się i spóźnia się dzisiaj — powiedziała pani domu, koło Władka przechodząc. On czekał. Wybiła dziesiąta, i szybkie kroki dały się słyszeć na wschodach..

— Czyliż teraz tak późno panna Józefa będzie jeszcze mogła mię odprowadzić? — myślał Władek, z mocno bijącym sercem słuchając tych zbliżających się stapań, ale teraz wśród nocy nie miał już wyboru.

— To panna Józefa przecież — rzekła pani domu; drzwi otworzyły się, Władysław poskoczył ku nim, zadając sobie pytanie, czy panna Józefa go pozna... ona weszła...

Tak; weszła panna Józefa Prażnicka, nauczycielka, ale i nie poznała, i nie mogła poznać Władka, bo to nie była *ta* panna Józefa, która go znała kiedyś.

Imię, nazwisko, sposób zatrudnienia, wszystko było toż samo, tylko panna Józefa nie *ta*!

Władysław poczuł, że mu się w głowie kręci... kilku słowami wytłómaczył swoją pomyłkę; państwo, i panna Józefa, młoda panienka, o kilkanaście lat młodsza od tamtej, rozśmiali się, i Władysław o wpół do jedenastej blisko, strudzony do ostateczności i z zawrotem w głowie wyszedł z mieszkania na korytarz, w ciemną noc.

Długą chwilę stał na korytarzu, ani wiedząc co począć, słyszał ciężkie kroki stróża, zamykającego dom na noc, trzeba było iść coprędzej poprosić aby mu otworzono, ale nogi zmęczone całodziennym chodzeniem nie chciały słuchać, a przytém... wyszedłszy z kamienicy, gdzie pójść?... Władysław mimowoli podniósł oczy w górę, jakby po ratunek do nieba i oczy rzeczywiście ujrzały niebo przez okno, umieszczone ponad szerokim schodem w połowie trzeciego piętra, wprost drzwi, zamykających strychy. Z drugiego piętra nie było widać tego szerokiego schodu w kącie, ale Władysław widział go w dzień, gdy zapędziwszy się zaszedł aż tam, idąc do mniemaniej panny Józefy. Teraz przypomniał sobie ów szeroki schód pod strychami,

ustronny, z dwoma schodami nad nim pod drzwiami strychu. Bez namysłu Władys poszedł tam cicho, położył się na szerokim schodzie, głowę oparł na drugim mniejszym, pod drzwiami strychu i zasnął z utrudzenia tak prędko, że nawet zapłakać nad sobą nie miał czasu. Tylko zdążył za ledwo pacierz rozpocząć...

Dopiero służące, zbiegające z wielkim szelestem z drugiego piętra po mleko i bułki na ulicę, obudziły rano Władysia, nie widząc go rozumie się. On też témbardziej skulił się w kątku pod strychem, żeby go nie dojrzały, bo mu wstyd było tego noclegu na schodach. Gdy się uciszyło na chwilę, zbiegł szybko i wyszedł na ulicę, ostrożnie unikając spotkania ze stróżem, jakby co złego zrobił.

Potem podążył do profesora. O tej godzinie najpewniej można było go zastać, zanim na lekcye do szkoły pójdzie. I był. Stał przy robotniku w bluzie, pokazując mu, co ma robić.

— Oto ten sam chłopiec, który wczoraj na pana czekał — rzekł robotnik.

— A co to? — spytał chudy, wysoki, z czarnemi o srebrnych nitkach włosami, profesor, spojrzawszy niedbale na Władka i oglądając dalej kamień, koło którego ów w bluzie pracował.

— Proszę pana profesora, ja przychodzę prosić o jakikolwiek zarobek, aby żyć; a podobno mam do rzeźby talent... powiedział Władys i urwał mowę nagle, bo mu coś jakby na poprzek w gardle stanęło.

— Oho! gotowy artysta! hm! — rzekł profesor, z góry spoglądając drwiąco na niego. Władek przestraszony jego drwiącém obejściem, dodał prędko:

— I zamiatałbym i wodę nosił...

Te słowa uratowały go. Profesor podniósł głowę i bystro w niego się wpatrzył... bo ten profesor dużo miał z młodymi chłopcami do czynienia, i dla tego umiał myśli ich z oczu im czytać przez wprawę. Wiedział on, że pyszny a niezdolny chłopak miałby sobie za ubliżenie wodę nosić i stróża robotę pełnić, ponieważ pycha i zarozumiałość zawsze z głupotą w trójkę chodzą. Widział też, że Władys nie z ostatniej nędzy tak gwałtownie zarobku pragnie, bo na to za dobrze wyglądał.

— Pójdź no tutaj — powiedział i zaprowadziwszy go do szopy, gdzie w jednym kącie leżała glina, w drugim jakieś narzędzia, a pod oknem stał stół, pytał:

— Masz talent do rzeźby? a cóż ty rzeźbisz?

— Żle się może wyraziłem, proszę pana, ja tylko lepię z wosku i z gliny, a powiedziano mi, że to znaczy talent do rzeźby — rzekł Władys.

— A rysować uczysz się?

— Ja... ja nie wiem, ja tylko sam rysuję — zająknął się chłopiec.

— Na, masz tu ołówek i papier, wyrysuj mi ludzkie ucho. A tu masz glinę, wyrób mi toż samo ucho z gliny. Za godzinę, jak będę szedł do szkoły, przyjdę tu — powiedział profesor i wyszedłszy z szopy, zaczął znów chodzić pomiędzy kamieniami, pokazując coś ludziom tam pracującym.

Władys został w szopie otwartą, sam z gliną, ołówkiem i papierem. Czuł, że przyszłość jego, a może i polepszenie bytu tych ukochanych, których szukał, zależy od tego, jak on tych trzech danych mu materyałów użyć potrafi. Zaszumiało mu w głowie... Chwycił ołówek, przyłożył go do papieru i zadumał się; jakże miał wyrysować ucho, kiedy swojemu własnemu przypatrzeć się nie mógł, a na żadne inne nigdy tak bacznie nie spojrzał, żeby je mógł z pamięci wyrysować; bo mniejsza już o wyrobienie z gliny, gdyby je miał wyrysowane, ale jak wyrysować?... daremnie próbował, w głowie mu szumiało, serce biło coraz gwałtowniej, a czas ubiegał; za godzinę przyjdzie profesor i powie:

„Stróża mam, a na robotnika jesteś niezdatny: wróć, zkań przyszedłeś i daj mi pokój”.

Władys już prawie słyszał takie słowa profesora, z przerażeniem spoglądając na niego, jak stał, tłumacząc coś dobitnie owemu człowiekowi w bluzie, który znów nie bardzo widać pojmując, drapał się za ucho z czysto chłopskim ruchem, wyrażającym zakłopotanie... Ta jego troszkę śmieszna postawa uderzyła Władysia:

— Zrobię to, co potrafię, kiedy nie mogę zrobić tego, co mi kazano — rzekł sam do siebie i śpiesznie, głównemi przynajmniej rysami, naszkicował na papierze człowieka w bluzie, a przy nim wysokiego chudego profesora, wykładającego mu coś poważnie z jedną ręką cokolwiek podniesioną, z laską w drugiej. Mając ich już naszkicowanych, co Władysiowi nie było bardzo trudno, bo przywykł rysować z natury, a ci dwaj ludzie stali o kilka kroków od niego, dobrze oświetleni jak nau-myślnie, Władys chwycił parę garści gliny, położył na stole i patrząc już na rysunek, zaczął prędko postać człowieka w bluzie z gliny wyrabiać. Godzina minęła jak chwila i profesor wszedł:

— Gdzie jest ucho? — krzyknął z gniewem i laską uderzył w ziemię. Władys przestraszony pokazał mu prędko niefortunne próby ucha na papierze, mówiąc:

— Ja... ja .. ja .. jak żyję ucha nie widziałem!..

Biedak ze strachu nie wiedział prawie, co mógł. Profesor spojrzał mu w oczy:

— To zobacz! — zawołał szorstko.

I siadłszy na zydlu do światła, czapkę rzucił, włosy założył za ucho, i to ucho swoje Władysiovi przedstawił. Chłopiec drżącą ręką zaczął śpiesznie rysować, patrząc na to ucho.

— A czegoż ci tak ręka drży? — rzekł zawsze z gniewem profesor, spojrzawszy na rysunek i znów siedział chwilę spokojnie. A gdy ucho było już odrysowane, spytał:

— Dla czegożś zrobił takie uszko, jak u igły? czy nie widzisz, że ja mam porządne uszy, jak się należy. Ulepię teraz ucho z gliny, jedno takie, jak narysowałeś, a drugie jak natura zrobiła, bo natura to grunt! rozumiesz? — i to rzekłszy, odwrócił się, kiwając laską na innego młodego człowieka, który daleko między kamieniami coś robił. Przybiegł on, przeskakując przez głazy, a profesor w milczeniu laską wskazał mu na rozpoczętego z gliny człowieka, drapiącego się za ucho. Oczywiście była to bryła gliny, ledwo z gruba obrobiona, u góry tylko trochę wyraźniejsza, a przecież młody chłopiec parsknął śmiechem i palcem na człowieka w bluzie ukazał, a potem ciekawie na Władka spojrział. Tymczasem profesor, patrząc także na bryłę gliny, rzekł do tego chłopca, biorąc go za kark i potrząsając nim po przyjacielsku:

— Trzymaj się! — bo jeżeli on nie próżniak, to i ty pójdziesz w kąt! przyjdę ja tu do was jutro — i stukając laską, a trzymając się prosto, kiwnął im głową i wyszedł z szopy i z podwórka w miasto. Już zniknął, a Władek jeszcze z myślami swemi nie mógł dojść do ładu, tak mu owe krzyki i gniewy profesora i ostatnie jego wyrazy pomąciły w głowie.

— Czy on się rozniewał?... czy on pochwalił?... ale przecież kazał mi uszy robić... — myślał Władek, lepiąc z gliny profesorskie ucho. A tamten chłopiec stał przy nim także w bluzie, także w czapce, i także cały zapyłony, a przecież nie wyglądający jakoś na robotnika, tylko na ucznia, bo mu w ciemnych żywych oczach jakby światło jakieś błyskało, niby świadcząc, że tam w tej głowie musi olej być, kiedy ono palić się może. Stał ten chłopiec, znacznie od Władka starszy, i przypatrywał się jego robocie, mówiąc:

— Zróbże linia w linia tak samo, jak masz na rysunku, bo cię *Natura* zkrzyczy.

— Natura?

— Eh — to my tak profesora w szkole nazwa-
liśmy, bo u niego co trzecie słowo występuje *natura*; mówił z tobą dziesięć minut, czy jeszcze o naturę nie zawadził?

— A owszem, mówił o naturze.

— To bardzo poczcziwy człowiek — mówił dalej młody chłopiec. — No, kolego, ja się nazywam

Stach Koberski, uczeń Szkoły Sztuk Pięknych — i podał Władkowi rękę.

— A ja Władysław Falski — rzekł Władys podając mu swoje i westchnął.

— A cóż ty tak wzdychasz? czy ci bieda?

— Ale jaka!... — szepnął Władys z nowym westchnieniem.

— Ej, tylko nie wzdychaj, bo to się na nic nie zda.

Na tém urwała się rozmowa, bo nie było na nią czasu. Zrobiwszy profesorskie ucho, Władys poszedł na drugi koniec podwórza do Stacha, pokazać mu je, a gdy otrzymał zapewnienie, że go *Natura* nie złąje i dowiedział się, że może odejść, byle jutro z rana się nie spóźnił, zabierał się już wyjść do miasta, gdy Stach dogonił go w bramie i kładąc mu rękę na ramieniu, powiedział:

— Słuchaj-no koleżko, powiedziałaś, że ci bieda; i mnie jest bieda, ale ja mam całego rubla dziesiątkami w kieszeni, to możebyśmy podzielili tę biedę?

— Ej nie, taka bieda mi jeszcze nie jest, ale gdybym mógł przespać się przez noc w której z tych szop, to bardzo byłbym wdzięczny — powiedział Władek, na raz ufnością i odwagą natchniony.

— I owszem, przychodź; i ja wolę tu w ładne nocy sypiać; a wiedz i pamiętaj, że koledzy od tego są na świecie, żeby kolegom w każdym razie pomagali — zawołał Stach.

Władek poszedł do biura adresowego po raz drugi, i tym razem dostał adres prawdziwy i pannę Józefę prawdziwą odszukał. Po długiej chwili wpatrywania się, poznała go, uściskała i rzewnymi łzami oblała; chciała go na całą resztę dnia u siebie zatrzymać, choćby lekcyę przez to musiała poświęcić, chciała go i na noc do matki swojej zaprowadzić, ale o jego rodzicach nie wiedziała nic, dodając ze smutkiem, że pani Falska zdawała się naumyślnie chcieć zerwać z nią wszelkie stosunki, a ona też narzucać się nie śmiała. Władys westchnął, bo przyszło mu na myśl, że matka może dla tego stosunki z dawnymi znajomymi zrywała, że nie chciała aby na jej nędzę patrzali. Zabawił parę godzin u panny Józefy, opowiadając jej całą przeszłość i zamiary swoje i ostatni nocleg swój nawet, potem pożegnał ją łamiącą rękę, biorącą się za głowę i niepuszczającą go gwałtem nieledwie. Poczcziwa kobieta żadną miarą pojąć nie mogła, żeby dwa lata życia mogły zrobić z dziecka to, co z jej wychowanka zrobiły.

Panna Józefa chciała w pierwszej chwili biedę z Władkiem do prawnika owego, sprawującego interesa Falskich i przysiądz, że Władek jest Władkiem, ale po chwili zastanowienia sama uzna-

ła, że jęj zaręczenie niezmiernie małą miałoby wagę dla prawnika. Władys pytał jęj o różne osoby, które przypominał sobie jako znajomych swoich rodziców, chociaż nie pamiętał i nie mógł ich określić tak dokładnie, żeby adresa ich dostać. Chciał on za ich pomocą szukać pp. Falskich. Panną Józefa jednakże miała tylko jeden taki znajomy sobie dom, który był i Falskim znajomy, a oni z tym domem, tak samo jak i z nią, stosunki zerwali.

Szedł więc znowu Władek przez miasto, wchodząc do kościołów, w których matka jego bywać lubiła i bacznie przypatrując się przechodniom. Posiedział i w Saskim ogrodzie w tęg alei i na tęg ławce, na tęg i matka i p. Józefa miały zwyczaj z nim siadywać. Zdawało mu się, że wspomnienia i przyzwyczajenie powinnyby przyprowadzić tam matkę. Dzisiaj nie śpieszyło mu się szukać zarobku, bo przedewszystkiem musiał rozmówić się z profesorem Naturą, który na jego prośbę o zarobek odpowiedział, rozkazując mu robić ucho. Zwiedziwszy tak wszystkie miejsca, gdzie z matką bywał i posiliwszy się, wrócił Władys na noc do miejsca, gdzie rano pracował. Na lekkie zastukanie do sztachetowęg bramy, podniósł się natychmiast Stach, który widocznie oczekiwał na niego. Otworzył bramę, zamknął ją za nim i poprowadził go do jedneg z szop, gdzie po dwie ławy przystawiono do ścian, a na każdęg takięg ławie snop słomy wskazywał, że gospodarz tutejszy Stach gościnnym był gospodarzem.

Nazajutrz profesor sam nagle zapytał Władka:

— Coś ty? zkąd ty? masz jakie papiery? Władys podał mu świadectwo wójta ze wsi.

Profesor spojrział, kiwnął głową, i biorąc chłopca za kark i trzęsąc nim, jak to czynił, gdy kogo lubił, wyrzekł:

— Widzisz ten niski dom tam? tam będziesz sypiał; tam przychodź jeść trzy razy dniem; tam ja mieszkam z mojemi; tu do służby jest stróż; ty będziesz robił koło kamieni; a zdasz się, to pomyslimy o ubraniu. Nikt nikomu łaski nie robi. Ty Wicek, weź Władka i pokaż mu, jak ma ci przy twojęg płycie pomagać — krzyknął na najmłodszego z chłopców i popędził w miasto, śpiesząc się jak zwykle.

(D. n.).

Łamigłówka w kwadraciku (Z. B.).

W 16 przedziałkach umieścić: 6 A — 2 D — 2 G — 1 J — 2 Ł — 1 M — 1 R — 1 T — aby utworzyć w obu kierunkach: 1) Narzędzie do roboty kobiecęg. 2) Wielka kłeska. 3) Oznaka ubóstwa. 4) Imię biblijne.

Męczygłówka (Z. W.).

Pastuszek, stratowawszy owies, począł umykać. 1. Za nim polowy i 2 „Czekajno, czekaj, powiem 3 coś ciekawego”. „Nie chcę” krzyknie 4 umykając „Czy to nie 5, że ciekawość pierwszy 6 do piekła”?

Dodać brakujące wyrazy w miejscu liczb.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go.

Łamigłówki zegarek.

Jan Tarnowski.
Biłgoraj.
Biała.
Babilon.
Benedykt.
Bzura
Bar.
Babin
Borneo.
Białocerkiew.
Benares.
Busk.
Bielawski.

Łamigłówki głoskowęg:

Seweryna.

przestawiając litery:

Syrena — Rea, Ares, Wenera — Wern (Verne) — Arwa — Nawa — Narew — Awerse (miasto we Włoszech) Ren — Wener — Warna — Sewer — Ewa.